

Zjawisko aglomeracji

Jesteśmy obecnie świadkami pewnego zjawiska, które, czy tego chcemy czy nie, stało się najważniejszym faktem współczesnego życia publicznego w Europie. Zjawiskiem tym jest osiągnięcie przez masy pełni władzy społecznej. Skoro masy już na mocy samej definicji nie mogą ani nie powinny kierować własną egzystencją, a tym mniej panować nad społeczeństwem, zjawisko to oznacza, że Europa przeżywa obecnie najcięższy kryzys, jaki może spotkać społeczeństwo, naród i kulturę. Historia zna już takie wypadki. Znałe są także charakterystyczne rysy i konsekwencja takich kryzysów. Mają one też w historii swoją nazwę. Zwą się: buntem mas.

Aby zrozumieć w całej rozciągłości owo przerażające zjawisko, należy przede wszystkim unikać przypisywania takim słowom jak „bunt”, „masy”, „władza społeczna” znaczenia wyłącznie czy głównie politycznego. Życie publiczne nie ogranicza się jedynie do sfery polityki, należy do niego również działalność intelektualna, moralna, gospodarcza, religijna; obejmuje ono wszelkie sfery życia zbiorowego, włącznie ze sposobem ubierania się czy zabawy.

Tak więc najlepszym sposobem przybliżenia czytelnikowi tego historycznego zjawiska jest ukazanie jego wizualnego aspektu, a przy tym uwypuklenie tych rysów nowej epoki, których istnienie możemy naocznie stwierdzić.

Owym faktem nadzwyczaj prostym do określenia, choć nie do analizowania, jest coś, co nazywam zjawiskiem aglomeracji, zjawiskiem „pełności”. Miasta pełne są ludzi. Domy pełne są mieszkańców. Hotele pełne są gości. Pociągi pełne są podróżnych. Kawiarnie pełne są konsumentów. Promenady pełne są spacerowiczów. Gabinety przyjęć znanych lekarzy pełne są pacjentów. Sale widowiskowe, o ile przedstawienie nie jest zrobione „na poczekaniu”, nie jest improwizacją, pełne są widzów. Plaże pełne są zażywających kąpiele. To, co kiedyś nie stanowiło żadnego problemu, a mianowicie: znalezienie miejsca, obecnie zaczyna być powodem niekończących się kłopotów.

Ot, i wszystko. Czy trzeba szukać zjawiska bardziej zwykłego, bardziej znanego i bardziej stałego w naszym współczesnym życiu? Spróbujmy przekłuć powierzchnię tej obserwacji, a staniemy zdumieni przed niespodziewanym źródłem, w którym odbijające się światło dnia, naszego obecnego dnia, objawi cały jego bogaty, wewnętrzny koloryt.

Cóż takiego zobaczymy i czegoż to widok tak nas zadziwi? Ujrzymy tłum jako taki, korzystający ze stworzonych przez cywilizację pomieszczeń i urządzeń. Po krótkim namyśle zadziwi nas własne zdumienie. Bo czyż nie jest to sytuacja idealna? Miejsca w teatrze są przecież stworzone po to, by je zajmować, a zatem chodzi o to, by sala była pełna. To samo można powiedzieć o miejscach siedzących w pociągu i pokojach w hotelu. Tak, fakt ten nie ulega wątpliwości. Rzecz jednak w tym, że przedtem pomieszczenia te nigdy nie były pełne, natomiast teraz często są przepełnione, a co więcej, nie wszyscy, którzy chcieliby z nich skorzystać, mogą dostać się do środka. Tak

więc, chociaż jest to zjawisko naturalne i logicznie uzasadnione, to jednak trzeba sobie zdać sprawę z tego, że kiedyś ono nie istniało, a obecnie jak najbardziej istnieje; a zatem mamy do czynienia ze zmianą, z nowością, która usprawiedliwia, przynajmniej początkowo, nasze zdziwienie.

Zdziwienie, zaskoczenie to początek zrozumienia. To specyficzny i ekskluzywny sport i luksus intelektualistów. Dlatego też charakterystycznym dla nich gestem jest patrzenie na świat rozszerzonymi ze zdziwienia źrenicami. Cały otaczający nas świat jest dziwny i cudowny, jeśli nań spojrzeć szeroko otwartymi oczami. To właśnie, uleganie radosnemu zdziwieniu, jest rozkoszą dla futbolisty niedostępną, natomiast dzięki niej intelektualista idzie przez życie pogrążony w niekończącym się, wizjonerskim upojeniu, którego oznaką zewnętrzną jest zdziwienie widoczne w oczach. Dlatego też dla starożytnych symbolem Minerwy była sowa, ptak, którego oczy są zawsze szeroko otwarte, jak gdyby w niemym zdziwieniu.

Aglomeracja, przepełnienie – były to zjawiska, które niegdyś należały do rzadkości. Dlaczego obecnie stały się tak częste?

Obecne tłumy nie wyłoniły się z nicości. W okresie ostatnich około piętnastu lat liczba ludności nie uległa jakimś większym zmianom. Wydaje się rzeczą naturalną, że po zakończeniu wojny liczba ta nawet nieco zmalała. I tak dochodzimy tu do pierwszego ważnego stwierdzenia. Osoby składające się obecnie na owe tłumy istniały również wcześniej, ale nie jako tłum. Rozproszone po świecie, samotne bądź w małych grupkach, wiodły żywot oddzielny, niezależny, jak gdyby w pewnej odległości od innych. Każda taka osoba czy grupka zajmowały własne miejsce bądź to na wsi, bądź w miasteczku, bądź w dzielnicy dużego miasta.

Teraz nagle przybrały kształt aglomeracji i gdziekolwiek spojrzymy, mamy przed oczami tłumy. Gdziekolwiek? Ależ nie; dokładniej rzecz biorąc w miejscach najlepszych, będących stosunkowo wyrafinowanym tworem kultury ludzkiej, które uprzednio zarezerwowane były dla mniejszej liczby ludzi, dla mniejszości.

Tłum stał się nagle widoczny, zajął w społeczeństwie miejsce uprzywilejowane. Przedtem, jeżeli nawet istniał, to pozostawał nie zauważony, był gdzieś w tle społecznej sceny; teraz wysunął się na sam środek, stał się główną postacią sztuki. Nie ma już bohaterów, jest tylko chór.

Pojęcie tłumy ma charakter ilościowy i wizualny. Przetłumaczmy je, nic w nim nie zmieniając, na język socjologii. Okaże się, że mamy do czynienia z ideą mas społecznych. Społeczeństwo jest zawsze dynamicznym połączeniem dwu czynników: mniejszości i mas. Na mniejszość składają się osoby lub grupy osób charakteryzujące się pewnymi szczególnymi cechami. Natomiast masa to zbiór osób nie wyróżniających się niczym szczególnym. Tak więc pod słowem „masy” nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim „mas robotniczych”. Masy to „ludzie przeciętni”. W ten sposób to, co było jedynie ilością, tłum, nabiera znaczenia jakościowego; staje się wspólną jakością, społeczną nijakością. Masy to zbiór ludzi nie wyróżniających się niczym od innych, będących jedynie powtórzeniem typu biologicznego. Co udało nam się uzyskać dzięki

owemu przejściu od ilości do jakości? To bardzo proste: dzięki przejściu do drugiego zrozumieliśmy pochodzenie pierwszego. Jest rzeczą oczywistą, wręcz banalną, że jeśli tłum tworzy się w normalny sposób, to u ludzi stanowiących go pojawiają się zbieżne dążenia, idee czy podobny styl życia. Mówi się często, że to samo dzieje się nieuchronnie z każdą grupą społeczną niezależnie od tego, jak elitarną chciałaby być. I rzeczywiście; ale jest jedna zasadnicza różnica.

W grupach, które nie są tłumem czy masą, rzeczywiste podobieństwo ich członków wynika z jakichś wspólnych dążeń, wyznawania jakiejś wspólnej idei czy poszukiwania podobnego ideału, które to cele same w sobie przyciągają dużą liczbę ludzi. Dla powstania jakiegokolwiek mniejszości konieczne jest, by uprzednio każdy z jej członków wystąpił z tłumu, kierując się jakąś specjalną, stosunkowo indywidualną, racją. A zatem jego podobieństwo do innych członków mniejszości jest wtórne, jest faktem zaistniałym już po wyodrębnieniu się jednostek z tłumu, przez to samo zaś jest w dużej mierze podobieństwem w niepodobieństwie. Bywa, że cechą wyróżniającą członków danej grupy jest ich konflikt ze społeczeństwem; istnieją w Anglii grupy ludzi, którzy sami siebie nazywają „nonkonformistami”, co znaczy, że łączy ich jedynie to, że nie zgadzają się z tłumem. Owo dążenie do łączenia się w mniejszość po to właśnie, by przeciwstawić się większości, jest charakterystyczne dla procesu powstawania każdej mniejszości. Mallarmé, mówiąc o niewielkiej grupce ludzi, którzy przyszli posłuchać koncertu wybitnego, ale trudnego muzyka, powiada, że obecność tej małej liczebnie publiczności podkreśla nieobecność nieskończenie liczniejszego motłochu.

Rzeczywiście, masy można zdefiniować jako zjawisko psychologiczne; nie musi to być koniecznie tłum złożony z indywidualnych jednostek. Możemy łatwo stwierdzić, czy dana osoba należy do masy czy nie. Masę stanowią ci wszyscy, którzy nie przypisują sobie jakichś szczególnych wartości – w dobrym tego słowa znaczeniu czy w złym – lecz czują się „tacy sami jak wszyscy” i wcale nad tym nie boją, przeciwnie, znajdują zadowolenie w tym, że są tacy sami jak inni. Wyobraźmy sobie teraz człowieka skromnego, który próbując dokonać oceny własnej wartości, zadaje sobie pytanie, czy posiada jakieś szczególne zdolności, czy wybija się w jakiegokolwiek dziedzinie życia, po czym ostatecznie dochodzi do wniosku, że niestety żadnych szczególnych zdolności czy zalet nie posiada. Człowiek ten czuje się szary, bezbarwny i skrzywdzony przez los, ale nie czuje się „masą”.

Kiedy się mówi o „wybranych mniejszościach”, często zniekształca się znaczenie tego określenia nie dostrzegając tego, że człowiek wybrany to nie ktoś butny i bezczelny uważający się za lepszego od innych, lecz ten, który wymaga od siebie więcej niż inni, nawet jeśli nie udaje mu się samemu tych wymagań zaspokoić. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie jest najbardziej podstawowym kryterium podziału ludzkości na dwa typy osobników: tych, którzy stawiają sobie duże wymagania, przyjmując na siebie obowiązki i narażając się na niebezpieczeństwa i tych, którzy nie stawiają sobie samym żadnych specjalnych wymagań, dla których żyć, to pozostawać takim, jakim się jest, bez podejmowania jakiegokolwiek wysiłku w celu samodoskonalenia, to płynąć przez życie

jak boja poddająca się biernie zmiennym prądom morskim.

Przypomniało mi to, że na ortodoksyjny buddyzm składają się dwie zasadniczo różne religie: jedna bardziej wymagająca i trudna oraz druga bardziej swobodna i łatwa: Mahayana – „wielki pojazd” czy „wielki wóz” – i Hinayana – „mały wóz”, „mniejsza ścieżka”. Istotne jest to, z którym „wozem” zwiążemy własne życie, maksymalnych czy też minimalnych wymagań.

Podział społeczeństwa na masę i wybrane mniejszości nie jest zatem podziałem na klasy społeczne, lecz na klasy ludzi i nie można go łączyć z podziałem na klasy wyższe i niższe. Oczywiście, istnieje prawdopodobieństwo, że w klasach wyższych, w okresie kiedy status ten osiągają i kiedy rzeczywiście nań zasługują, napotykamy więcej osób, które związały swoje życie z „wielkim wozem”, podczas gdy klasy niższe składają się zazwyczaj z osobników pozbawionych jakichś szczególnych wartości. Jednakże, dokładnie rzecz biorąc, w łonie każdej klasy społecznej istnieje masa i autentyczna mniejszość.

Jak to wkrótce zobaczymy, cechą charakterystyczną naszych czasów jest panowanie masy, tłumu, nawet w grupach o elitarnych dotychczas tradycjach. Tak więc także w dziedzinie życia intelektualnego, które z samej swej istoty wymaga określonych kwalifikacji, daje się zauważyć stały wzrost znaczenia pseudointelektualistów, niedouczonej, nie będących w stanie osiągnąć należytych kwalifikacji i którzy z natury rzeczy powinni być w tej dziedzinie zdyskwalifikowani. To samo można powiedzieć o wielu potomkach „arystokracji”, zarówno w linii męskiej jak i żeńskiej. Z drugiej strony nie jest obecnie wcale rzadkością natrafienie wśród robotników, którzy niegdyś służyli jako typowy przykład tego, co nazywamy „masą”, na jednostki o umysłach w najwyższym stopniu uporządkowanych i zdyscyplinowanych.

Otóż, istnieje w społeczeństwie olbrzymia różnorodność czynności, zajęć i funkcji, które z natury rzeczy mają szczególny charakter i, co za tym idzie, nie mogą być należycie wykonywane przez ludzi pozbawionych pewnych specjalnych uzdolnień. Przykładem mogą tu być pewnego typu przyjemności artystyczne o elitarnym charakterze albo też sprawowanie funkcji w rządzie i wygłaszanie politycznych ocen na temat spraw życia publicznego. Niegdyś te szczególnego rodzaju czynności wykonywane były przez mniejszość o odpowiednich kwalifikacjach lub przynajmniej przez mniejszości, które przypisywały sobie posiadanie tych kwalifikacji. Masy nie starały się ingerować w te zagadnienia; były bowiem świadome tego, że chcąc wziąć w nich udział, musiałyby, zgodnie z naturą rzeczy, zdobyć owe szczególne zdolności, a tym samym przestałyby być masą. Znały swą rolę i miejsce w zdrowej dynamice społecznej.

Wracając teraz do zjawisk i faktów, o których mowa była na początku, możemy stwierdzić, iż są one niewątpliwie zwiastunami zmian zachodzących w postawach mas. Wskazują na to, że masy zdecydowały się wysunąć w społeczeństwie na pierwszy plan, zakupując lokale, korzystając z urzędów i zaznając przyjemności, które dotąd zarezerwowane były dla bardzo nielicznych. Jest rzeczą oczywistą, że, na przykład, wspomniane wyżej pomieszczenia, ze względu na ograniczoną przestrzeń, nie były

planowane z myślą o tłumie, który obecnie się przez nie przelewa, unaoczniając nam dobitnie i namacalnie powstanie nowego zjawiska: masy, która nie przestając być masą, zajmuje miejsce mniejszości.

Nikt chyba nie będzie ubolewał nad tym, że większa liczba ludzi czerpie obecnie więcej przyjemności z życia niż kiedyś, tym bardziej, jeśli mają po temu chęci i środki. Zło tkwi w tym, że owa podjęta przez masy decyzja o przyswojeniu sobie właściwego mniejszościom sposobu życia nie ogranicza się i nie może się ograniczać jedynie do dziedziny przyjemności, lecz staje się ogólną cechą naszych czasów. Dlatego też – uprzedzając to, o czym będzie mowa dalej – uważam, iż zmiany polityczne ostatnich lat zwiastują nie co innego, jak polityczną dyktaturę mas. Stara demokracja utrzymywała się przy życiu dzięki liberalizmowi i entuzjastycznej wierze w moc prawa. Jednostka, posłuszna tym zasadom, musiała narzucić samej sobie, a następnie utrzymać, pewną dyscyplinę. Mniejszości mogły żyć i działać pod osłoną zasad liberalizmu i przy przestrzeganiu zasad praworządności. Demokracja i prawo – współzycie zgodne z normami praworządności, to były synonimy. Obecnie jesteśmy świadkami triumfu hiperdemokracji, w ramach której masy działają bezpośrednio, nie zważając na normy prawne, za pomocą nacisku fizycznego i materialnego, narzucając wszystkim swoje aspiracje i upodobania. Fałszem jest interpretowanie nowej sytuacji jako takiej, w której masy, zmęczone polityką, składają jej prowadzenie w ręce ludzi o szczególnych w tym kierunku uzdolnieniach. Wręcz odwrotnie. Tak było przedtem, była to demokracja liberalna. Masy zakładały mniej lub bardziej chętnie, że mniejszość dzierżąca władzę polityczną, mimo wszystkich swych wad i słabości, zna się jednak nieco lepiej na sprawach publicznych. Dzisiaj natomiast masy są przekonane o tym, że mają prawo nadawać moc prawną i narzucać innym swoje, zrodzone w kawiarniach, racje. Wątpię, czy udałoby się znaleźć w dziejach jakiś inny okres, w którym tłum sprawowałby władzę w sposób tak bezpośredni jak w naszych czasach. Dlatego też występujące obecnie zjawisko nazywam hiperdemokracją.

To samo ma miejsce w innych dziedzinach życia, a szczególnie w sferze intelektualnej. Być może mylę się, ale wydaje mi się, że obecnie pisarz, kiedy bierze do ręki pióro, by napisać coś na znany mu gruntownie temat, powinien pamiętać o tym, że przeciętny czytelnik, dotąd tym problemem nie zainteresowany, nie będzie czytał dla poszerzenia własnej wiedzy, lecz odwrotnie – po to, by wydać na autora wyrok skazujący, jeśli treść jego dzieła nie będzie zbieżna z banalną przeciętnością umysłu owego czytelnika. Jeśli składające się na masę jednostki uważają się za szczególnie uzdolnione, to mamy wówczas do czynienia tylko z błędem jednostkowym, nie z socjologicznym przewrotem. *Dla chwili obecnej charakterystyczne jest to, że umysły przeciętne i banalne, wiedząc o swej przeciętności i banalności, mają czelność domagać się prawa do bycia przeciętnymi i banalnymi i do narzucania tych cech wszystkim innym.* W Ameryce Północnej powiada się: być innym to być nieprzyzwoitym. Masa miażdży na swojej drodze wszystko to, co jest inne, indywidualne, szczególne i wybrane. Kto nie jest taki sam jak wszyscy, kto nie myśli tak samo jak wszyscy, naraża się na ryzyko

eliminacji. Oczywiście, „wszyscy” to wcale nie „wszyscy”. Normalnie rzecz biorąc „wszyscy” to całość, na którą składają się masy i wyróżniające się pewnymi szczególnymi cechami mniejszości. Obecnie wszyscy to tylko masa.

Taka właśnie jest straszliwa prawda o naszych czasach, przedstawiona brutalnie i bez osłonek.